

STEPHEN KING

CZARNA BEZGWIEZDNA
NOC



ALBATROS

Tytuł oryginału:
FULL DARK, NO STARS

Copyright © Stephen King 2010
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Krzysztof Oblucki 2011

Redakcja: Mirosław Grabowski

Projekt graficzny okładki: Sławomir Rybka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1922

Hotel Magnolia
Omaha, Nebraska

11 kwietnia 1930 roku

DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH

Nazywam się Wilfred Leland James, a to jest moja spowiedź. W czerwcu 1922 roku zamordowałem żonę, Arlette Christine Winters James, i żeby ukryć ciało, wrzuciłem je do starej studni. W tej zbrodni pomagał mi syn, Henry Freeman James, choć jako czternastolatek nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Wciągnąłem go w to, przez ponad dwa miesiące manipulując jego strachem i rozwiewając zwykłe w takich okolicznościach wątpliwości. Tego właśnie gorzko żałuję, bardziej niż popełnionej zbrodni, z powodów, które przedstawię w niniejszym piśmie.

Motywym, który doprowadził mnie do morderstwa i skazał na potępienie, było sto akrów dobrej ziemi w Hemingford Home w Nebrasce. Teść, John Henry Winters, zapisał ją mojej żonie. Chciałem dodać tę działkę do naszej farmy, która w 1922 roku liczyła osiemdziesiąt akrów. Żona, która nigdy nie przyzwyczaiła się do życia na wsi (nie wspominając o roli żony farmera), zamierzała sprzedać ją za gotówkę Przedsiębiorstwu Przetwórstwa Mięsnego Farringtona. Kiedy zapytałem, czy naprawdę chciałaby żyć z pieniędzy tej firmy, prowadzącej ubój wieprzy, odpowiedziała, że równie dobrze jak jej ojcowiznę moglibyśmy też sprzedać farmę – ziemię, którą odziedziczyłem po ojcu, a on po swoim ojcu! A gdy spytałem, co niby mielibyśmy zrobić z pieniędzmi, za to bez

ziemi, powiedziała, że moglibyśmy przeprowadzić się do Omaha albo nawet do Saint Louis i otworzyć sklep.

– Nigdy nie zamieszkam w Omaha – odpowiedziałem. – Miasta są dla głupców.

Biorąc pod uwagę, gdzie teraz mieszkam, zakrawa to na ironię, ale nie będę tu zbyt długo. Wiem o tym i znam również przyczynę dźwięków, które słyszę w ścianach. I wiem też, gdzie trafię, gdy mój ziemski żywot dobiegnie końca. Zastanawiam się, czy w piekle może być gorzej niż w mieście Omaha. A może piekło to właśnie jest Omaha, tyle że bez otoczenia ładnych wsi, za to pośród zadymionej, cuchnącej siarką pustki pełnej dusz takich jak moja.

O te sto akrów klóciliśmy się zawzięcie przez zimę i wiosnę 1922 roku. Henry znalazł się między młotem a kowadłem, choć skłaniał się raczej w moją stronę. Po matce miał ładną buzię, ale miłość do ziemi przejął ode mnie. Był posłusznym chłopcem, bez śladu arogancji typowej dla jego matki. Raz po raz powtarzał jej, że nie ma ochoty na życie w Omaha ani żadnym innym mieście i przeprowadzi się tam jedynie wtedy, gdy ona i ja dojdziemy do porozumienia, co nigdy nie nastąpiło.

Brałem pod uwagę wymiar sprawiedliwości, bo byłem pewny, że w tym przypadku każdy sąd w naszym kraju podtrzyma moje prawo, jako męża, do decydowania o użytkowaniu i przeznaczeniu ziemi. Coś mnie jednak przed tym powstrzymywało. Nie bałem się, że sąsiedzi zaczną gadać, wsiowe plotki nie są mi straszne. Chodziło o coś innego. Zacząłem jej nienawidzić, ot co. Życzyłem jej śmierci i to mnie powstrzymywało.

Wierzę, że w każdym siedzi jakby inny człowiek, obcy, taki Przechera. I wierzę, że kiedy zaczął się marzec 1922 roku, gdy niebo nad hrabstwem Hemingford stało się białe, a każde pole było zaśnieżonym blokiem, Przechera w farmerze Wilfredzie Jamesie wydał wyrok na moją żonę i przesądził o jej losie. I słusznie się jej to należało. Biblia mówi, że niewdzięczne dziecko jest jak wąż wychodowany na własnej piersi, ale kłótniwa i niewdzięczna żona to

coś jeszcze gorszego.

Nie jestem potworem, chciałem ocalić ją przed Przecherą. Powiedziałem jej, że jeśli się nie pogodzimy, powinna wyjechać do matki, do Lincoln, leżącego około stu kilometrów na zachód – wystarczająco daleko jak na separację, która nie jest jeszcze rozwodem, choć wskazuje na rozpad małżeństwa.

– I jak się domyślam, miałabym zostawić ci ojcowiznę? – zapytała i odrzuciła do tyłu głowę. Jakże nienawidziłem tego bezczelnego odrzucania głowy, przywodzącego na myśl złe wytresowanego kuca, oraz cichego prychnięcia, które zawsze temu gestowi towarzyszyło. – Możesz o tym zapomnieć, Wilf.

Zaproponowałem, że jeśli się uprze, odkupię od niej tę ziemię. Spłata potrwałaby zapewne jakieś osiem, może dziesięć lat, ale dostałaby całą sumę, co do centa.

– Mały dochód jest gorszy od braku dochodu – odrzekła (po raz kolejny prychając i odrzucając do tyłu głowę). – Każda kobieta o tym wie. Przedsiębiorstwo Farringtona zapłaci wszystko od razu, poza tym ich oferta jest znacznie hojniejsza od twojej. Zresztą nie mam zamiaru mieszkać w Lincoln. To nie miasto, jedynie wieś, gdzie jest więcej kościołów niż domów.

Rozumiecie moją sytuację? Widzicie, w jakim położeniu się przez nią znalazłem? Czy nie należy mi się choć trochę współczucia z waszej strony? Nie? No to posłuchajcie tego.

Na początku kwietnia owego roku – z tego, co wiem, minęło od tamtej pory osiem lat – przyszła do mnie cała wyfiokowana. Większą część dnia spędziła w „salonie piękności” w McCook. Włosy wisiały jej wokół policzków w grubych lokach, które skojarzyły mi się z rolkami papieru toaletowego na sznurku, widywanymi w hotelach i zajazdach. Powiedziała, że wpadła na pewien pomysł. Jej zdaniem powinniśmy sprzedać te sto akrów i farmę przedsiębiorstwu Farringtona. Uważała, że kupią i moją ziemię, żeby tylko dostać akry jej ojca znajdujące się w pobliżu linii kolejowej (i prawdopodobnie miała rację).

– Potem – dodała ta bezwstydną jędrza – podzielimy pieniądze, rozwiedziemy się i każde z nas zacznie nowe życie, ale osobno. Oboje wiemy, że tego chcesz. – Tak jakby ona tego nie chciała.

– Och – odpowiedziałem (udając, że naprawdę zastanawiam się nad jej pomysłem). – A kto weźmie chłopca?

– Oczywiście, że ja – odpowiedziała, szeroko otwierając oczy.
– Czternastoletni chłopiec potrzebuje matki.

Właśnie tamtego dnia zacząłem pracować nad Henrym, mówiąc mu o planach jego matki. Siedzieliśmy na świeżo skoszonym sianie. Przybrałem najsmutniejszy wyraz twarzy i bardzo przygnębionym głosem roztoczyłem przed nim obraz życia, jakie go czeka, jeśli matka zrealizuje swój zamiar. Mówiłem, że nie będzie miał ojca ani farmy, o tym, jak będzie się czuł w znacznie większej szkole, o jego przyjaciołach (w większości znanych mu od najwcześniejszego dzieciństwa), których zostawi, o tym, jak w nowej szkole będzie musiał wywalczyć sobie pozycję wśród obcych, wyśmiewających się z niego i przezywających go wsiowym kmiotkiem. Gdyby natomiast, powiedziałem, udało się nam nie tylko zachować gospodarstwo, ale też jeszcze je powiększyć, na pewno dalibyśmy radę spłacić kredyt w banku do 1925 roku, a potem żylibyśmy szczęśliwie bez długów i wdychalibyśmy świeże powietrze, zamiast patrzeć na flaki świń spływające od świtu do nocy strumieniem, który teraz był jeszcze czysty.

– Co wolisz w takim razie? – zapytałem, opowiedziawszy mu to wszystko z największymi szczegółami.

– Chcę zostać tu z tobą, tato – odparł. Łzy płynęły mu po policzkach. – Dlaczego ona musi być taką... taką...

– No, dalej – zachęciłem go. – Słowa prawdy nigdy nie są przekleństwem, synu.

– Taką zdziurą!

– Bo taka jest większość kobiet – odrzekłem. – To część ich natury, której nie da się wykorzenić. Pytanie brzmi jednak, co mamy zamiar z tym zrobić.

Ale tymczasem Przechera we mnie dawno już pomyślał o starej studni za oborą, skąd czerpaliśmy wodę dla inwentarza, płytkiej i zamulonej – głębokiej jedynie na trochę ponad pół metra i tylko niewiele pojemniejszej od beczki na deszczówkę. Pozostawał jednak problem, jak przybliżyć mu to rozwiązanie. Bo musiałem to zrobić, tego się na pewno domyślacie – mogłem zabić żonę, ale chodziło mi o uratowanie kochanego syna. Po co komu sto osiemdziesiąt akrów – czy nawet tysiąc – jeśli nie ma się ich z kim dzielić i komu ich zostawić?

Udawałem, że rozważam szalony pomysł Arlette zamiany pola kukurydzy w ubojnię świń. Poprosiłem, żeby dała mi więcej czasu na przyzwyczajanie się do tej myśli. Zgodziła się. Dzięki temu mogłem przez następne dwa miesiące pracować nad Henrym, oswajając go z zupełnie innym planem. Nie było tak trudno, jak mogłoby się wydawać, bo choć odziedziczył po matce ładną buźkę (jak dobrze wiecie, ładna buzia u kobiety to miód, który przywabia mężczyzn do ula pełnego żądań), nie miał w sobie nic z jej oślego uporu. Wystarczyło odmalować mu obraz życia, jakie czekałoby go w Omaha albo Saint Louis. Wysunąłem też przypuszczenie, że nawet te dwa mrowiska mogą ostatecznie nie usatysfakcjonować jego matki, bo równie dobrze mogłaby dojść do wniosku, że tylko Chicago jej odpowiada.

– A wtedy – powiedziałem – może się okazać, że będziesz chodził do gimnazjum z czarnuchami.

Zaczął być chłodny wobec matki, a ona po kilku nieudolnych i zignorowanych przez niego próbach odzyskania uczuć syna odwzajemniła mu się tym samym. Ucieszyło mnie to (a raczej Przecherę). Na początku czerwca oznajmiłem jej, że po głębokim namyśle nigdy nie pozwolę jej bez walki sprzedać tych stu akrów. Nawet gdyby to nas zrujnowało i musielibyśmy przez to żebrać.

Przyjęła to ze spokojem. Zdecydowała się poszukać rady u prawnika (jak wiemy, prawo staje się przyjacielem każdego, kto płaci). Przewidziałem ten ruch. I jedynie się uśmiechnąłem! Bo nie

stać jej było na taką poradę. Twardo trzymałem rękę na tej odrobinie gotówki, jaką mieliśmy. Nawet Henry, gdy go o to poprosiłem, oddał mi swoją świnkę skarbonkę, żeby nie mogła ukraść pieniędzy dziecku, mimo że było ich tam śmiesznie mało. Skierowała się, rzecz jasna, do biura przedsiębiorstwa Farringtona w Deland, mając pewność (podobnie jak ja), że skoro mogliby na tym bardzo wiele zyskać, chętnie zgodzą się zapłacić jej prawnikowi.

– Jeśli tak zrobią, ona wygra – powiedziałem Henry’emu na sianie w stodole, która stała się miejscem naszych rozmów. Nie do końca byłem tego pewny, ale podjąłem już decyzję, której jeszcze nie nazwałbym planem.

– Ale, tato, to nie w porządku! – zawołał. Siedząc na sianie, wyglądał bardzo młodo, bardziej jak dziesięciolatek niż czternastolatek.

– Życie już takie jest – odparłem. – Czasami pozostaje jedynie wydrzeć mu to, co się chce. Nawet jeśli kogoś się przy tym skrzywdzi. – Przerwałem, wpatrując się w jego twarz. – Nawet jeśli ktoś przez to umrze.

Pobladł.

– Tato!

– Gdyby ona zniknęła – ciągnąłem – byłoby tak jak dawniej. Ustałyby ciągle kłótnie. Żylibyśmy sobie spokojnie. Zaoferowałem jej wszystko, co mogłem, żeby odeszła, ale ona nie chce. Pozostaje tylko jedno rozwiązanie. I my możemy to zrobić.

– Ale ja ją kocham!

– Ja też ją kocham – powiedziałem.

Co było zgodne z prawdą niezależnie od tego, jak bardzo wyda się wam to niewiarygodne. Żaden mężczyzna nie potrafiłby tak nienawidzić kobiety, jak ja nienawidziłem żony od 1922 roku, jeśli nie byłoby między nimi miłości. Bo choć Arlette to kobieta uparta i zrzędlawa, serce miała dobre. Nasze „stosunki małżeńskie” nigdy nie zanikły, chociaż odkąd zaczęły się awantury o te sto akrów, nasza szamotanina w ciemności coraz bardziej przypominała

parzenie się zwierząt w rui.

– To nie musi być bolesne – dodałem. – A kiedy będzie po wszystkim... cóż...

Zaprowadziłem go na tyły obory i pokazałem studnię. Chłopak zalał się łzami.

– Nie, tato. Nie w ten sposób. Za żadne skarby.

Ale kiedy wróciła z Deland (Harlan Cotterie, nasz najbliższy sąsiad, wioził ją swoim ffordem przez większą część drogi, zostawiając jej do przejścia ostatnie trzy kilometry) i Henry błagał ją, by ustąpiła, „żebyśmy znowu mogli być rodziną”, straciła nad sobą panowanie, uderzyła go w twarz i powiedziała, żeby przestał zebrać jak pies.

– Ojciec zaraził cię pokorą. Co gorsza, zaraził cię też swoją pazernością.

Jakby jej ten grzech nie dotyczył!

– Adwokat zapewnił mnie, że ta ziemia jest moja i mogę nią dysponować według własnej woli, a ja mam zamiar ją sprzedać. Wy dwaj możecie tu siedzieć i wachać zarzynane świnie, gotować sobie posiłki i słać łóżka. Ty, mój synu, możesz orać całymi dniami i czytać po nocach jego staroświeckie książki. Nie na wiele mu się zdały, ale może tobie pójdzie z nimi lepiej. Kto wie?

– To nie w porządku, mamó!

Popatrzyła na syna, jak kobieta mogłaby popatrzeć na obcego mężczyznę, który zamierzał dotknąć jej ramienia. A mnie serce urosło, gdy zobaczyłem, że odpowiedział jej równie lodowatym spojrzeniem.

– Możecie sobie iść do wszystkich diabłów, obaj. Przeprowadzam się do Omaha i otwieram sklep z odzieżą. Tak ja rozumiem grę fair.

Ta rozmowa odbyła się na podwórzu między domem a oborą, a słowa o rozumieniu gry fair były jej ostatnimi. Przymaszerowała przez podwórze, wzbijając kurz eleganckimi bucikami z miasta, weszła do domu i trzasnęła drzwiami. Henry obrócił się i spojrzał na mnie. W kącikach ust miał krew, napuchła mu dolna warga.

Złość w jego oczach była dzika i czysta, z rodzaju, jaki mogą odczuwać jedynie dojrzewające nastolatki. To złość, która nie liczy się z kosztami. Pokiwał głową. Odpowiedziałem mu tym samym, z równie śmiertelną powagą, ale wewnątrz mnie Przechera wykrzywił się w uśmiechu.

Policzek, który mu wymierzyła, stał się wyrokiem śmierci.

• • •

Dwa dni później, kiedy Henry przyszedł do mnie na pole młodej kukurydzy, spostrzegłem, że jego woła znowu osłabła. Nie byłem tym rozczarowany ani zaskoczony. Puste lata między dzieciństwem a dorosłością są pełne rozchwiania, przeżywająca je młodzież wiruje niczym kurki na dachach, montowane przez niektórych rolników ze Środkowego Zachodu na silosach z ziarnem.

– Nie możemy – powiedział. – Ona tkwi w błędzie. A Shannon mówi, że ci, którzy umierają, będąc w błędzie, idą do piekła.

Szlag by trafił Kościół metodystów i Bractwo Młodych Metodystów, pomyślałem... ale Przechera tylko się uśmiechnął. Przez następne dziesięć minut, otoczeni zielonymi łodygami i liśćmi, rozmawialiśmy o teologii, podczas gdy chmury wczesnego lata – najlepsze chmury, te, które przepływają po niebie niczym szkunery – przemieszczały się nad nami powoli, ciągnąc za sobą cienie niczym kilwatery. Wyjaśniłem mu, że będzie wręcz przeciwnie – zamiast skazywać Arlette na piekło, wyślemy ją do nieba.

– Bo – mówiłem – ktoś zamordowany, mężczyzna czy kobieta, umiera w czasie wyznaczonym nie przez Boga, ale przez człowieka. On... albo ona... odchodzi nagle, zanim... może odpokutować za grzechy. Dlatego wszystkie błędy muszą mu być wybaczone. Kiedy pomyślisz o tym w ten sposób, zrozumiesz, że każde morderstwo jest otwieraniem bramy do nieba.

– A co z nami, tato? Czy my nie pójdziemy do piekła?

Wskazałem ręką pola pyszniące się gąszczem nowych roślin.

– Jak możesz tak mówić, gdy widzisz raj wokół nas? A ona

chce go nam odebrać niczym anioł z płonącym mieczem, który wyrzucał Adama i Ewę z rajskiego ogrodu.

Wpatrywał się we mnie, zakłopotany. Ponury. Byłem zły na siebie, że to za moją sprawą tak sponiewiał, ale jakaś część mnie wierzyła, i nadal wierzy, w winę jego matki za taki stan rzeczy.

– Tylko pomyśl – powiedziałem. – Jeżeli ona wyjedzie do Omaha, pogrąży się jeszcze głębiej w piekielnych czeluściach. Jeśli zabierze cię ze sobą, staniesz się mieszcuchem...

– Nigdy! – krzyknął tak głośno, że kruki poderwały się z płotu i poleciały wysoko w niebo niczym kawałki zwęglonego papieru.

– Jesteś młody i pojedziesz – mówiłem dalej. – Zapomnisz o tym wszystkim... nauczysz się miejskiego życia... i sam zaczniesz się pograżać.

Gdyby odpowiedział, że mordercy tracą wszelką nadzieję na połączenie się ze swoimi ofiarami w niebie, znalazłbym się w kropce. Ale jego wiedza teologiczna nie sięgała tak daleko albo po prostu nie chciał zastanawiać się nad tym problemem. Zresztą czy piekło istnieje, czy sami je sobie robimy na ziemi? Przemyślawszy dobrze ostatnie osiem lat życia, opowiadałem się za tym drugim.

– Jak? – zapytał. – Kiedy?

Powiedziałem mu.

– I będziemy dalej mogli tu mieszkać?

Odpowiedziałem, że tak.

– I nie będzie cierpiała?

– Nie – odpowiedziałem. – To stanie się szybko.

Wyglądał na usatysfakcjonowanego. Na razie jednak mogło jeszcze wcale do tego nie dojść, bo wszystko nadal zależało od Arlette.

• • •

Wybraliśmy jeden z sobotnich wieczorów mniej więcej w połowie czerwca jako równie dobry jak każdy inny. Arlette czasami piła latem wino o zachodzie słońca, choć ostatnio zdarzało się to coraz

rzadziej. Nie bez kozery o tym pomyślałem. Należała do ludzi, którzy nie potrafili poprzestać na jednym kieliszku, piją drugi, czwarty, szósty, aż opróżniają całą butelkę. A później następną, jeśli jest w zasięgu.

– Muszę bardzo uważać, Wilf. Za bardzo mi to smakuje. Szczęściem mam silną wolę.

Tamtego wieczoru siedzieliśmy na werandzie, sączyliśmy wino, patrzyliśmy na zmierzch zapadający nad polami i wsłuchiwaaliśmy się w sennie cykanie świerszczy. Henry był w swoim pokoju. Prawie nie tknął kolacji, a gdy siedzieliśmy z Arlette w fotelach z poduszkami „Mama” i „Tata”, wydawało mi się, że usłyszałem słaby odgłos jakby wymiotowania. Pamiętam, że pomyślałem jedno: gdy ten moment nadejdzie, on prawdopodobnie nie będzie umiał stawić mu czoła. A jego matka obudziłaby się wtedy nazajutrz rozdrażniona, z kacem, nieświadoma, jak niewiele brakowało, by nigdy już nie oglądała świtu nad Nebraską. Mimo to jednak nie odstępiałem od planu. Bo byłem jak jedna z tych rosyjskich matroszek? Może. Może taki jest każdy mężczyzna. Tkwił we mnie Przechera, ale wewnątrz niego siedział Optymista. Ten gość umarł tak mniej więcej między 1922 a 1930 rokiem. Przechera zaś po dokonaniu zniszczeń odchodził. Bez jego pomysłów i ambicji życie stało się puste.

Przyniosłem butelkę na werandę, ale kiedy próbowałem dolać Arlette do kieliszka, zakryła go dłonią.

– Nie musisz mnie upijać, żeby dostać, czego chcesz. Ja też tego chcę. Śwędzi mnie.

Rozsunęła nogi i położyła rękę na kroczu, żeby pokazać, gdzie ją śwędzi. W niej siedziała Wulgarna Kobieta – może nawet Ladacznica – a wino zawsze pozbawiało ją zahamowań.

– Wypij jeszcze jeden kieliszek – powiedziałem. – Mamy powód do świętowania.

Popatrzyła na mnie nieufnie. Nawet po jednym kieliszku wina jej oczy stawały się wilgotne (jakby część jej płakała po winie, które chciałyby wypić, lecz nie mogła), a w świetle zachodu nabrały

pomarańczowego koloru, przypominając dziury w wydrążonej dyni z wstawioną do środka świeczką.

– Nie będzie żadnej rozprawy w sądzie – mówiłem. – I nie będzie żadnego rozwodu. Jeżeli przedsiębiorstwo Farringtona stać na zapłacenie za moje osiemdziesiąt akrów i twoje sto akrów po ojcu, nasz spór dobiegnie końca.

Po raz pierwszy i zresztą jedyny w czasie naszego niełatwego małżeństwa Arlette rozdziawiła usta.

– Co powiedziałeś? Naprawdę myślisz to, co powiedziałeś? Nie żartuj sobie ze mnie, Wilf!

– Nie żartuję – odparł Przechera. Mówił z prawdziwą szczerością. – Rozmawiałem o tym z Henrym wiele razy...

– Dobrze się ze sobą dogadujecie, to prawda – stwierdziła. Zabrała dłoń znad kieliszka, a ja skorzystałem z okazji, żeby go napełnić. – Ciągłe siedzicie w stodole albo na sągu drewna, nieraz szepczecie coś między sobą za domem. Myślałam, że chodzi o dziewczynę Cotteriech. – Prychnięcie i odrzucenie głowy do tyłu. Ale miałem wrażenie, że jednocześnie trochę posmutniała. Sączyła drugi kieliszek. Dwa łyki wina i nadal mogła odstawić szkło i iść do łóżka. Po czwartym równie dobrze mógłbym jej wręczyć butelkę. Nie wspominając o dwóch następnych, które miałem pod ręką.

– Nie – powiedziałem. – Nie rozmawialiśmy o Shannon. – Chociaż widziałem, jak Henry trzymał za rękę dziewczynę Cotteriech, kiedy szli trzy kilometry do szkolnego autobusu z Hemingford Home. – Gadaliśmy o Omaha. Wydaje mi się, że chce tam pojechać. – Staralem się nie przesadzić, bo wypila dopiero jeden kieliszek wina i dwa łyki z drugiego. Ta moja Arlette była bowiem z natury podejrzliwa, zawsze doszukiwała się drugiego dna. Rzecz jasna, w tym przypadku ono naprawdę istniało. – A przynajmniej chce się przekonać, jak tam jest. No i Omaha nie jest daleko od Hemingford...

– Nie, nie jest daleko. Powtarzałam to wam obu tysiąc razy. – Napiła się wina, lecz tym razem nie odstawiła kieliszka jak

poprzednio. Pomarańczowe światło nad horyzontem na zachodzie pociemniało, przybierając barwę zielonkawego szkarłatu, który wydawał się płonąć w jej kieliszku.

– Gdyby chodziło o Saint Louis, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

– Zrezygnowałam z tego miasta – odpowiedziała. Co oznaczało, że sprawdziła możliwości i zorientowała się, że miałyby tam jakieś problemy. Za moimi plecami oczywiście. Wszystko robiła za moimi plecami oprócz wystąpienia o prawnika z przedsiębiorstwa Farringtona. Zresztą to też zrobiłaby w tajemnicy przede mną, gdyby nie chciała użyć tego jako kija, żeby mi dołożyć.

– Myślisz, że kupią całą działkę? – zapytał. – Sto osiemdziesiąt akrów?

– Skąd mam wiedzieć? – Napila się. Drugi kieliszek był pusty. Gdybym usiłował go jej teraz zabrać, mówiąc, że już dość wypila, na pewno nie chciałaby go oddać.

– Jestem pewny, że wiesz – powiedziałem. – Te sto osiemdziesiąt akrów jest jak Saint Louis. Wywiedziałaś się bardzo dokładnie.

Spojrzała na mnie koso... a potem wybuchnęła śmiechem.

– Może i wiem.

– Chyba moglibyśmy rozejrzeć się za domem na przedmieściach – dodałem. – Gdzie jest przynajmniej kawałek pola, na które można popatrzeć.

– I gdzie będziesz całymi dniami siedział na tyłku w bujanym fotelu na werandzie, a twoja żona dla odmiany zacznie pracować? No dobra, nalej mi. Skoro mamy świętować, to świętujemy.

Napełniłem oba kieliszki. Do swojego dolałem odrobinę, bo upiłem z niego tylko jeden łyk.

– Myślę, że mógłbym rozejrzeć się za pracą mechanika. Przy samochodach, ciężarówkach, ale najchętniej przy maszynach rolniczych. Skoro potrafię utrzymać na chodzie tego farmalla – wskazałem ręką z kieliszkiem na ciemny kształt traktora stojącego za oborą – to pewnie będę umiał naprawić wszystko.

– I Henry cię do tego namówił.

– Przekonał mnie, że lepiej spróbować szczęścia w mieście niż zostać tutaj samemu, co z pewnością kiepsko by się dla mnie skończyło.

– Chłopak wykazuje się zdrowym rozsądkiem, a dorosły mężczyzna go słucha! No, nareszcie! Alleluja! – Osuszyła kieliszek i wyciągnęła go przed siebie, chcąc więcej. Chwyciła mnie za ramię i przysunęła się na tyle blisko, że poczułem w jej oddechu zapach sfermentowanych winogron. – Możesz dziś dostać tę rzecz, Wilf, tę, którą lubisz. – Zabarwionym na purpurowo językiem dotknęła środka górnej wargi. – Wiesz, tę paskudną rzecz.

– Nie mogę się doczekać – odpowiedziałem. Jeśli wszystko poszłoby po mojej myśli, jeszcze paskudniejsze rzeczy wydarzyłyby się w łóżku, które dzieliłem z nią od piętnastu lat.

– Zawołajmy na dół Henry’ego – zaproponowała. Zaczynała niewyraźnie wymawiać słowa. – Chcę mu pogratulować, że w końcu przejrzał na oczy. – (Czy wspomniałem wcześniej, że czasownik „dziękować” nie istniał w słowniku mojej żony? Pewnie nie. Teraz zaś nie ma takiej potrzeby). Oczy jej pojaśniały, bo o czymś pomyślała. – Damy mu kieliszek wina! Jest już wystarczająco duży! – Szturchnęła mnie łokciem, jak to zwykle robią starcy przesiadujący na ławkach przy schodach w sądzie, opowiadając sobie świńskie dowcipy. – Jeśli nam się uda rozwiązać mu trochę język, może nawet się dowiemy, czy spotykał się z Shannon Cotterie... Niezła z niej bałamutka, ale ma ładne włosy, to muszę jej przyznać.

– Może najpierw napijesz się jeszcze wina – powiedział Przechera.

Wypiła dwa następne kieliszki, potem dokończyła butelkę. (Pierwszą). Zaczęła śpiewać *Avalon*, imitując, najlepiej jak umiała, głos Ala Jolsona i podobnie jak on przewracając oczami. Przykro było na to patrzeć, a jeszcze smutniej było tego słuchać.

Poszedłem do kuchni po następną butelkę wina. Uznałem, że już najwyższa pora zawołać Henry’ego. Choć, jak wspominałem,

nie wiązałem z nim zbyt wielkich nadziei, mogłem tego dokonać, jedynie mając chętnego pomocnika. W głębi serca wierzyłem, że wycofa się z tego przedsięwzięcia w ostatniej chwili, kiedy skończą się tematy do rozmowy i nadejdzie odpowiednia pora. Gdyby tak się stało, położylibyśmy ją po prostu do łóżka. A rankiem bym jej powiedział, że zmieniłem zdanie i nie mam zamiaru sprzedawać ziemi odziedziczonej po ojcu.

Przyszedł Henry i w jego bladej, żałośnie wyglądającej twarzy nic nie zapowiadało powodzenia naszego planu.

– Tato, chyba nie dam rady – wyszeptał. – To przecież mama.

– Jeśli nie dasz rady, to nie dasz rady – odpowiedziałem i nie było w tych słowach nic z Przechery. Pogodziłem się z tym. Co ma być, to będzie. – W każdym razie ona jest szczęśliwa pierwszy raz od miesięcy. Pijana, ale szczęśliwa.

– Nie na lekkim rauszu? Tylko pijana?

– Zdziwiony? Przecież ona potrafi się cieszyć tylko wtedy, gdy sprawy układają się po jej myśli. Czternaście lat razem z nią to wystarczająco długo, żeby o tym wiedzieć.

Marszcząc czoło, nastawił ucha w kierunku werandy, gdzie kobieta, która go urodziła, zaczęła śpiewać niewyraźnie, ale słowo w słowo, piosenkę *Dirty McGee*. Widać było, że nie podoba mu się ta koszarowa ballada, może z powodu refrenu („Chciała mu pomóc go wsadzić/Bo to znowu był Dirty McGee”), ale najprawdopodobniej dlatego, że matka bełkotała. Rok wcześniej, na biwaku Bractwa Młodych Metodystów w dniu Święta Pracy, Henry ślubował abstynencję. Właściwie ucieszył mnie jego szok. Młodzi ludzie, kiedy nie wirują niczym kurki na dachu, są zasadniczy jak purytanie.

– Matka chce, żebyś z nami posiedział i napił się wina.

– Tato, wiesz przecież, że ślubowałem Bogu nigdy nie pić.

– Sam będziesz musiał jej o tym przypomnieć. Ona chce świętować. Sprzedajemy ziemię i przeprowadzamy się do Omaha.

– Nie!

– Cóż... zobaczymy. Wszystko naprawdę zależy od ciebie. Chodźmy na werandę.

Matka wstała niepewnie na jego widok, objęła go ramionami, trochę zbyt mocno przytuliła się do niego i zbyt afektownie obcałowała mu twarz. Sądząc po jego grymasie, nie pachniała najładniej. Tymczasem Przechera napełnił jej kieliszek, który ponownie stał się pusty.

– Wreszcie jesteśmy wszyscy razem! Moi mężczyźni, którzy odzyskali zdrowy rozsądek! – Uniosła kieliszek w toaście, wylewając sobie sporo wina na tors. Roześmiała się i puściła do mnie oko. – Jeśli będziesz grzeczny, Wilf, pozwolę ci potem wyssać je z bluzki.

Henry patrzył z niechęcią, zdeorientowany, jak opada z powrotem na bujany fotel, unosi spódnicę i upycha ją między nogami. Spostrzegła wyraz jego oczu i roześmiała się.

– Nie musisz udawać świętego. Widziałam cię z Shannon Cotterie. To niezła kokietka, ale ma ładne włosy i jest zgrabniutka. – Dopija resztę wina i czknęła. – Jeśli z tego nie skorzystasz, to będziesz głupi. Ale bądź ostrożny. Czternaście lat to nie za wcześnie na żeniactwo. Tu, na Środkowym Zachodzie, czternaście lat to nie za wcześnie, żeby ożenić się z kuzynką. – Ponownie się roześmiała i wyciągnęła przed siebie rękę z kieliszkiem.

Dolałem jej z drugiej butelki.

– Ona ma już dość, tato – powiedział Henry z dezaprobatą godną pastora.

Nad nami pośród bezbrzeżnej płaskiej pustki rozbłysły pierwsze gwiazdy, a ja kochałem ten widok przez całe życie.

– Och, sam nie wiem – odpowiedziałem. – *In vino veritas*, jak napisał Pliniusz Starszy... w jednej z książek, z których twoja matka tak szydzi.

– Za pługiem przez cały dzień, a nocami z nosem w książce – odezwała się Arlette. – Z wyjątkiem chwil, gdy chce czegoś ode mnie.

– Mamo!

– Mamo! – zadrwiła, a potem uniosła kieliszek w kierunku farmy Harlana Cotteriego, która znajdowała się zbyt daleko, żeby dostrzec jej światła. Nie widzielibyśmy ich, nawet gdyby była o kilometr bliżej, bo kukurydza urosła już wysoko. Kiedy w Nebrasce nastaje lato, każdy dom zmienia się w statek żeglujący po rozległym zielonym oceanie. – Piję za Shannon Cotterie i jej młodzieńcze cyczki, a jeśli mój syn nie wie, jakiego koloru ma sutki, to jest ofertą.

Henry nic nie odpowiedział, ale to, co zobaczyłem w jego twarzy, bardzo ucieszyło Przecherę.

Obróciła się do Henry’ego i złapała go za ramię, oblewając mu dłoń winem. Zignorowawszy jego ciche prychnięcie, z niespodziewaną surowością spojrzała mu w twarz i powiedziała:

– Musisz pamiętać, że kiedy będziesz się z nią miętosił na polu kukurydzy czy za oborą, nie wolno ci jej zerznąć. – Ułożyła wolną rękę w pięść, wystawiła środkowy palec i narysowała nim koło wokół swego krocza: lewe udo, prawe udo, prawa strona brzucha, pępek, lewa strona brzucha i znowu lewe udo. – Macaj wszystko, co chcesz, ocieraj się o te miejsca siurkiem, aż będzie ci dobrze i wystrzelisz, ale trzymaj się z dala od bazy, bo wpadniesz jak śliwka w kompot na resztę życia, tak jak twój tatuś i mamusia.

Chłopak wstał i odszedł bez słowa, za co wcale go nie winię. Nawet jak na Arlette był to wyjątkowo wulgarny popis. W jego oczach zapewne zmieniła się z matki – kobiety trudnej, ale czasami kochającej – w cuchnącą burdelmamę, która poucza niedoświadczonego młodego klienta. Jakby tego było mało, on naprawdę kochał dziewczynę Cotterich, a to pogarszało jeszcze sprawę. Bardzo młodzi mężczyźni nieodmiennie stawiają na piedestale swoją pierwszą miłość i kiedy ktoś, nawet własna matka, ośmieli się napluć na ich ideał...

Usłyszałem ciche trzaśnięcie drzwiami. I stłumiony płacz.

– Zraniłaś jego uczucia – powiedziałem.

Wyraziła pogląd, że uczucia, podobnie jak sprawiedliwość, to

typowa wymówka słabeuszy. Potem wyciągnęła przed siebie rękę z kieliszkiem. Dolałem jej wina, wiedząc, że rano nie będzie pamiętała nic z tego, co mówiła (zakładając, że nadal będzie na świecie, by powitać ranek), i wyprze się wszystkiego – żywiołowo – gdy jej o tym opowiem. Widywałem ją już w stanie takiego zamroczenia, choć nie przez ostatnie lata.

Wypiliśmy drugą butelkę (ona ją opróżniła) i połowę trzeciej, kiedy broda opadła jej na poplamiony winem tors i rozległo się chrapanie. Dźwięki dobywające się z gardła Arlette przypominały warczenie złego psa.

Objąłem ją ramieniem, wsunąłem dłoń pod jej pachę i zdźwignąłem na nogi. Mamrotała coś w proteście i śmierzdzącą ręką usiłowała mnie bić.

– Zostw mie. Chse spaś.

– Będiesz spać – odpowiedziałem. – Ale w łóżku, a nie tu, na werandzie.

Zaprowadziłem ją – potykającą się i chrapiącą, z jednym okiem zamkniętym, drugim otwartym i o szklistym spojrzeniu – do salonu. Drzwi pokoju Henry’ego otworzyły się. Stał w nich z twarzą pozbawioną wyrazu. Wydawał się znacznie starszy, niż był w rzeczywistości. Skinął do mnie głową. Tylko raz, ale to powiedziało mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

Położyłem ją na łóżku, zdjąłem jej buty i zostawiłem, żeby spała, z nogami szeroko rozrzuconymi i jedną ręką zwisającą z materaca. Wróciłem do salonu i zastałem tam Henry’ego. Stał przy radiu, które kupiłem rok wcześniej, zmuszony do tego przez Arlette.

– Nie powinna mówić takich rzeczy o Shannon – wyszeptał.

– Ale będzie mówiła – odpowiedziałem. – Taka właśnie jest, taką ją Pan Bóg stworzył.

– I nie może rozłączyć mnie z Shannon.

– To też zrobi – wyjaśniłem. – Jeśli jej na to pozwolimy.

– Nie mógłbyś, tato... nie mógłbyś wziąć własnego prawnika?

– Myślisz, że jakkolwiek adwokat, którego usługi mógłbym

kupić za te marne grosze, jakie mam w banku, poradziłby sobie z prawnikami Farringtona? Oni trzęsą całym hrabstwem Hemingford, a ja mogę co najwyżej potrząsać sierpem przy koszeniu siana. Oni chcą tych stu akrów, a ona jest środkiem, by ten cel osiągnąć. To jedyny sposób, ale musisz mi pomóc. Pomożesz?

Długo się nie odzywał. Pochylił głowę, a ja widziałem łzy spadające z jego oczu na wytarty dywan. Później jednak wyszeptał:

– Tak. Ale jeśli będę musiał na to patrzeć... Nie jestem pewny, czy dam radę...

– Można będzie tak to zrobić, żebyś niczego nie widział. Idź do szopy i przyniesi wórek z juty.

Posłuchał mnie. Poszedłem do kuchni i wziąłem najostrzejszy nóż rzeźniczy. Kiedy Henry wrócił z workiem i zobaczył nóż, pobladł na twarzy.

– Musisz tym? Nie możesz... poduszką...?

– Trwałoby to zbyt długo i bardzo by bolało – odpowiedziałem.
– Walczyłaby.

Przyjął to spokojnie, jakbym przed zabiciem żony zamordował już co najmniej tuzin kobiet i znał się na rzeczy. A wcale tak nie było. Wiedziałem jedynie, że we wszystkich moich planach dotyczących tego momentu – innymi słowy, w marzeniach o chwili, gdy się jej pozbywam – zawsze widziałem nóż, który teraz trzymałem w ręku. Zatem nóż tego dokona. Nóż – albo nici z całego zamiaru.

Staliśmy w poświacie lamp naftowych – do 1928 roku poza generatorami nie było w Hemingford prądu elektrycznego – i patrzyliśmy na siebie. Wspaniałą nocną ciszę, jaka zdarza się tylko na odludziu, zakłócały jedynie nieprzyjemne odgłosy chrapania. Mimo to nie byliśmy sami – towarzyszyła nam jej wola, oddzielona od tej kobiety (wtedy wydawało mi się, że ją wyczuwam, teraz, po ośmiu latach, jestem tego pewny). To opowieść o duchu, tyle że duch już tam był, zanim kobieta, do której należał, umarła.

– No dobrze, tato... pošlemy ją do nieba. – Twarz Henry'ego pojaśniała na tę myśl. Dziś robi to na mnie wrażenie czegoś

obrzydliwego, zwłaszcza że wiem, jak to się skończyło.

– Migiem się uwinę – powiedziałem. Jako chłopak i potem mężczyzna podrzynałem gardła tłustym wieprzkom, więc pomyślałem, że tym razem to nie będzie nic innego. Ale myliłem się.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).